

KOZODÓJ

(część I)

Tam, gdzie Dniestr w porohy zdradliwe wpada i kręci młynka z wody na każdym zakręcie, gdzie wicher wyje wśród białych skał wysokiego brzegu – miejscowi mówią, że na potępienie zbrodni, które tutaj niegdyś popełniono - stoją ruiny warowni. Miejsce to szczególnej wagi, bo górujące nad jedynym w okolicy brodem, którym od końca wiosennych roztopów do początku jesiennej sloty można przejść przez rzekę nie zamoczywszy ramion.

W dawnych czasach wiódł tędy szlak handlowy, a przy samej rzece stał zajazd, zapraszający do środka wszystkich przejeżdżających podróżnych: kupców, rycerzy, pątników, dostojnych i mniej dostojnych, byleby sakiewkę pełną mieli i jak największą część jej w oberży zostawili. Przed zajazdem kłębił się tłum drobnych rzemieślników, handlarzy, chłopów, a wśród nich kręciło się pełno: żebraków, obnażających spod łachmanów swoje kikuty, kuglarzy, a to łykających ogień, a to rwących łańcuchy, to znów pokazujących sztuczki z małymi małpkami, nie brakowało też ladacznic z powiekami umalowanymi czerwidłem z sadzy i dekolantami odsłaniającymi wydatne piersi, podciągających - na widok samotnego męża – kiecki i, odsłaniając nogi, lubieżnie się uśmiechały. Bywało, że wśród tej gawiedzi znalazł się gędziarz jakiś z cytrą, zawodząc tęskne pieśni o miłości nieszczęśliwej, albo i klechdziarz, ubrany w dziwaczne stroje z dalekich krajów, prawiący o zdarzeniach w obcych stronach, albo historyje o rycerzach i ich czynach, lubo o zdarzeniach dziwnych i niesamowitych. Zdarzało się, że takiego klechdziarza sam oberżysta do środka zapraszał, co by on i inni jego goście mogli spokojniej klechdy wysłuchać.

Razu pewnego, o wrześnieowej, wieczornej porze, klechdziarz, którego zwali Maurycy Sinobrody, a to od zasiniałej z prawej strony twarzy, którą mu pono siną barwą w Stambule napuścili, za to, że dziewczkę wezyrowi z haremu chciał zbałamucić. Podobno przyrodzenie chcieli mu obciąć i psom rzucić, ale od tego wybroniła go kurtyzana z Podola pochodząca, do której wezyr często zaglądał dla zażycia rozkoszy niebywałych. Na łbie miał Maurycy bruzdę na ćwierć kciuka głęboką, co mu się ciągnęła od czubka czerepa i aż za prawe ucho schodziła – a to za sprawą rotmistrza husarskiego Ponickiego, którego go buzdyganem swoim, pułkownikowskim przez łeb zdzielił, kędy Sinobrody na jego połowicy leżał i uciech z nią zażywał. Rotmistrz Ponicki, przez zgryzotę nad młodą żoną, w trzy niedziele ducha wyzionął, a ta prosto z cmentarza do karmelitów poleciała co by u ojczulków Maurycego doglądać i do zdrowia, jak najszybciej go doprowadzić.

Tedy tenże klechdziarz Maurycy siedział sobie na pustej beczce po okowicie, pod oknem oberży stojącej i grzał kości w zachodzącym słońcu. Nie zażył jednakowoż długo promieni, bo go oberżysta wnet do środka zaprosił. Nie ociągał się długo Maurycy, bo to i głodny był i suchość jeszcze w pysku czuł, po trzydniowym weselisku, na które aże do Kołomyji pojechał, bo i nie byle kto, jeno pan Poraj, pisarz pułkowy wojsk cudzoziemskich - i jego przyjaciel - go zaprosił.

Poszedł zatem Maurycy ochoczo za oberżystą, w środku rozglądając się w koło, czy to jakiej znajomej gęby gdzie nie zobaczy, bo wiedział przecie, że oberżysta sam z siebie nie prosił by go w gościnę, jeno z

czyjegoś poduszczenia to zrobił. A no i długo nie wodził oczami, bo zza ławy pod oknem stojącej doszło do niego wołanie - na głos którego odwróciwszy się, głowę - siwizną zarostu i czerwonym nosem upięk-szoną - pana posła ziemskiego Wilczka rozpoznał.

„A chodźże no tu obwiesiu” – usłyszał drugi, tubalny głos, dudniący pomiędzy powalą i ścianami karcz-my, niby w pustej beczce po kapuście, a którego właściciel - obok Wilczka siedzący - w cieniu ściany schowany był i go - w pierwszej chwili - Maurycy, ze słońca wchodzący, nie dojrzał. Był to pan Ma-likowski, były sędzia grodzki, co to ludzi nędznego stanu na śmierć skazywał, jakoby wiśnie żarł i pest-kami słuwał. Nie zestrzącał się jednakowoż Maurycy, choć na mgnienie oka skurcz za gardło go ch-wycił, ano bo to pamiętał jeszcze jak to przed onym gadem stał, a ten świdrował go swymi przekrwio-nymi, pijackimi ślepiami i, waląc swoim wielkim paluchem o blat sędziowskiej ławy, krzychał: ”Będziesz wisiał łachudro! Będziesz wisiał!”. Skąd mu było wiedzieć, że Ponicki, onego Malikowskiego kompanem od kart i rozpusty jest?

Tedy Maurycy stał teraz przed Malikowskim, tyle że tamten nie za sędziowską ławą stał, jeno za kar-czemną, no i sędzią już nie był, jeno pijakiem nienawistnym ludziom, a Maurycy łotrzykiem nie był jeno bajdurzeniem klechd się zajmował.

„A gdzież to twój kompan i banita w jednej osobie, ony Kozodój, jak go gmin zwie, się znajduje, a...”

Maurycy łypnął na nich spode łba i, nie pytając, na zydlu za ławą usiadł. Poseł Wilczek spojrzał nań za-dziornie, a że podłego wzrostu był, niby karzeł jakiś i głowę kaprawą jak szeptucha poleska miał, to cze-pliwy do przystojnych a postawnych mężów był, niczym rzep psiego ogona. Nie odpuścił Wilczek i teraz. Swym skrzekliwym głosem się odzywając - niby to do Maurycygo, ale tak coby wszyscy słyszeli:

„Mówią, że diabeł wyssał jego duszę i zamknął w bukłaczku na okowitę. Podobno schował bukłak gdzieś na porohach, czy u chana na Kupczaku siedzącego. Odtąd Kozodój błąka się po miastach, wsiach, zapa-dłych dziurach, bezdrożach i wykrotach, pali i morduje szlachetnie urodzonych, a i krew dzieciom wy-pija, jako to dla żywota przedłużenia”.

Maurycy z pantafelku zbić się nie dał, boć poznał, że o polityczną rzecz idzie:

„Jednakowoż kłam tej historii zadało zdarzenie, które wprawiło w zdumienie wszystkich, którzy znali Kozodoja, a nawet tych, którzy go nie znali, a tylko o nim słyszeli. Otóż, gdy orda z Kipczaku najechała Kołomyję, a razem z tym i pałac Kozodoja, ten im nie tylko nie uległ, ale pogonił psich synów aż za Dniestr. Z tej wyprawy przywiózł dziecko. Brzdąca, którego na czas powrotu zawinął w poły swojego wareskiego płaszcza z karakułowej skóry i karmił po drodze kobyli-m mlekiem”.

Malikowski, miód w onej chwili łapczywie połykający - aże mu grdyka łąziła w te i we w te, jak piechur niemiecki na mrozie – oderwał kielich od szczerbatej głowy, siwymi wąsiskami zasłoniętej i wałnął nim o ławę, a i krzyknął:

„Snadź mleka mu dawał, bo pierwiej krwi mu upuścił do wychłęptania potrzebnej!”

Ale już to Maurycy na swoją, głądziarską ścieżkę wszedł i takim opojom i łachudrom pola ustąpić ani o piędź nie miał zamiaru.

„Ojciec Brunon z karmelickiego klasztoru mówił, że Kozodój Jezusa pod postacią tego dziecka spotkał.”

Wilczek tymczasem na karczmarza kiwnął, a tamten przytruchtał prędko z dzbanem miodu w ręce i w kielichy nalał. Malikowski świeżo nalanego miodu popił, podniósł się za ławą i, celując w Maurycego pulchnym paluchem prawit:

„Ale nikt mu nie wierzył, bo gdzieżby tam Bóg Najjaśniejszy swojego syna do diabelskiego sługi wysyłał?”

Wilczek mu wtórował:

„Brunon nie słuchał nikogo, tylko gadał, że zapewne Kozodój buklaczek teraz szybko znajdzie i duszę swoją z czarnej niewoli odzyska. Jednak wielu tak pomiędzy sobą gadało, że ojciec Brunon dobry człowiek jest, ale na ludziach, to się zna tyle, co diabeł na kiszeniu kapusty”.

Maurycy te pijackie napady przeczekał, oparł się zadkiem o kant ławy, ręce na torsie skrzyżował i palnął:

„Bo to i nie minęło pięć wiosen, jak Kozodój siedmioletniego Brzdąca do karmelickiego klasztoru przywiózł i, w tajemnicy przed przeorem, ojcu Brunonowi oddał. Kiedy Brunon zapytał Tamten spojrzał nań twardo i odpowiedział chrapliwym głosem, a ojciec Brunon popatrzył nań przeciągle i pobłogosławił na drogę.”

Wilczek swój kaprawy pysk do Maurycego przybliżył i syknął:

„Ale ojciec furtian, obok którego Kozodój przechodził, mówił mi, że jak nic siarkę czuł.”

Maurycy na nikczemną postać posła nie zważając ciągnął dalej, bo teraz już wszyscy w karczmie się im przysłuchiwali:

„Dwa miesiące potem Orda klasztor spaliła, a ojciec Brunon ledwo z Brzdącem w step uciekł, lecz nic to nie dało, bo ich jakaś banda napadła i dla zabawy, czy z zupełnego zbydlęcenia, ręce im powiązali, ojcu Brunonowi stryk na szyję zarzucili i kazali wleźć na ramiona Brzdąca. Sznur zawiązali na gałęzi i z wielkim rechotem odjechali. Trzymał Brzdąc dzielnie swojego wybawiciela, ale młode ramiona omdlały, tak jak i całe ciało i upadł na piach jak worek prosa. Biedny ojciec Brunon zawisł na stryku, a Bóg zabrał jego czyste serce do siebie. Oszalałego z przerażenia, błakającego się po stepie Brzdąca, karawana kupiecka zabrała, ale psie syny Turkom w Czerkasach, w niewolę do Egiptu go przedali. Turcy jednakowoż na Kozodoja w Jassach się nadziali. Nie wrócili do swoich, bo Kozodój wysłał kozich synów na ich niebiańskie łąki. Brzdąc nie wydał z siebie ni słowa, tylko usiadł obok Kozodoja i w jego płaszcz się wtulił.”

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

maarynarz, dodano 09.07.2013 07:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.